
Józef Niżnik*

Jaka Unia Europejska leży w interesie Polski?

W dyskusjach wokół traktatu konstytucyjnego bardzo często pojawiała się kategoria interesu narodowego. Hasło to służyło właściwie obydwu stronom, zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom tego projektu. W związku z tym warto odpowiedzieć na pytanie: na czym polega interes narodowy Polski, jeśli chodzi o przyszły kształt Unii Europejskiej?

Wydaje się, że odpowiedź jest oczywista i trudno mi sobie wyobrazić, żeby również zwolennicy Nicei mogli odpowiedzieć inaczej. W interesie Polski leży taka Unia Europejska, która będzie ważnym podmiotem w stosunkach międzynarodowych, konkurencyjnym na globalnej scenie gospodarczej.

W jaki sposób Unia może uzyskać taką pozycję? Wchodzą tu w grę rozmaite czynniki. Do najważniejszych należy instytucjonalny kształt systemu politycznego Unii. W tej sprawie problem formułowano niezbyt trafnie, na zasadzie opozycji układ międzyrządowy i wspólnotowy. Wiadomo, że spośród instytucji unijnych jedne mają charakter międzyrządowy, a inne wspólnotowy. Niekiedy tworzone opozycje mające na celu określenie alternatywnych form, ku którym mogłaby zmierzać Unia. Zastanawiano się, czy powinna to być konfederacja, czy federacja, albo bardziej literacko – czy ma to być „Europa Ojczyzn”, czy może „Ojczyzna Europa”. W gruncie rzeczy chodzi o ten sam problem, ale – w moim przekonaniu – tworzenie tych opozycji jest błędną strategią intelektualną. W kontekście postawionego wcześniej pytania powinna nas przede wszystkim interesować sprawa

* *prof. dr hab. Józef Niżnik – Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.*

bardziej pierwotna: jaki rodzaj przywództwa w Unii Europejskiej byłby najkorzystniejszy dla Polski?

W takim systemie politycznym, jakim jest Unia Europejska, od kształtu instytucjonalnego będzie zależała jego efektywność i rola na scenie międzynarodowej, a także sprawność podejmowania decyzji i w konsekwencji losy wszystkich państw członkowskich zjednoczonej Europy. Tymczasem w tej sprawie ulegamy, jak się wydaje, pewnej iluzji, którą przyjmują za pewnik zwłaszcza obrońcy Nicei. Tą iluzją jest założenie, że układ międzyrządowy zapewnia przywództwo kolektywne i że dla Polski najbezpieczniej będzie, jeżeli pozostanie on ośrodkiem decyzyjnym Unii, tak jak jest obecnie. Dlaczego nie jest to założenie trafne?

Już teraz widzimy, że międzyrządowy tryb podejmowania decyzji wcale nie zapewnia kolektywnego udziału w procesie decyzyjnym. Wprost przeciwnie, to właśnie ten układ pozostawia miejsce na walkę – cichą lub otwartą – o przywództwo pomiędzy państwami najsilniejszymi. Mówienie o międzyrządowym trybie dochodzenia do kompromisu jest częścią całego złudzenia. W gruncie rzeczy to właśnie w obrębie Konferencji Międzyrządowych toczy się walka kosztem państw słabszych, do których Polska niestety należy. Mowa o „tandemie francusko-niemieckim” – z sugestią, że będzie to tandem trwały – jest w związku z tym rzeczą najbardziej zdumiewającą. Jakież to tandem, jeżeli spojrzeć na historię integracji europejskiej? Jak często Francuzi i Niemcy – mimo że zaczęli proces integracji i często pomagali mu w odzyskaniu dynamiki – mieli wspólne interesy już wewnątrz wspólnoty? Bardzo łatwo pokazać, że najczęściej się spierali. Dlaczego więc mamy się bać „tandemu francusko-niemieckiego”? Na jakiej podstawie chcemy obecną sytuację ekstrapolować na całą przyszłość? Jeżeli jest jakiś wspólny interes Niemiec i Francji, to jest to ten sam interes co Polski: pomyślna przyszłość Unii Europejskiej.

Alternatywą dla koncepcji przywództwa wynikającej z układu międzyrządowego, która – jak twierdzą – implikuje walkę najsilniejszych państw Unii o rolę lidera, jest przywództwo ponadnarodowe, europejskie, czyli w istocie koncepcja Unii federacyjnej. Unia federacyjna w znacznie mniejszym stopniu dopuszcza możliwość walki o przywództwo między państwami członkowskimi, w której przewagę zawsze będą miały państwa najsilniejsze.

Wyobraźmy sobie np. wybór prezydenta Unii Europejskiej. Gdyby był taki urząd i gdyby prezydent był wybierany w wyborach powszechnych, to

można przypuszczać, że kandydat w takich wyborach liczyłby się raczej z opinią „elektoratu europejskiego” niż wyłącznie elektoratu francuskiego, niemieckiego czy brytyjskiego. Co więcej, to właśnie w ten sposób coś takiego jak elektorat europejski mogłoby się stopniowo ukształtować. Innymi słowy, w interesie Polski, a także wszystkich państw słabszych ekonomicznie oraz państw mniejszych leży dążenie do takiego ustroju politycznego Unii, w którym możliwe byłoby przywództwo europejskie, a nie międzyrządowe, z nieuchronną walką o rolę przywódczą między państwami najsilniejszymi. Traktat konstytucyjny jest krokiem w tym właśnie kierunku – dlatego jest bliższy interesom Polski niż rozwiązania Traktatu Nicejskiego i m.in. dlatego popierają go nawet bardzo małe państwa. Przecież one muszą mieć w tym jakiś interes. Tymczasem nikt nie stawia pytania, dlaczego małe państwa, a tych jest w Unii większość, opowiadają się nie za Niceą, lecz za propozycjami Konwentu.

Krótki przegląd założeń

Pierwsze założenie: obrona Nicei (w istocie nicejskiej zasady liczenia głosów) leży w interesie Polski. W moim przekonaniu założenie to jest błędne. Jednakże ci, którzy je przyjmują, najczęściej odrzucają jakąkolwiek argumentację. Pomijając nawet reminiscencję z „Reduty Ordoni” przywołaną w trakcie debaty sejmowej¹, cały dyskurs można podsumować następująco: najłagodniejsi obrońcy Nicei zarzucali jej przeciwnikom naiwność, natomiast ci bardziej agresywni, jak Kaczyński, mówili: „Powrót z Brukseli bez obrony Nicei byłby zdradą narodową”.

Otóż obrona Nicei nie leży w naszym interesie mimo rozmaitych kalkulacji matematycznych określających tzw. wskaźnik siły głosów, jako że nie siła głosów jest tu sprawą najważniejszą.

Drugie założenie to twierdzenie, że mamy do czynienia z dyktatem państw wielkich. Po zaakceptowaniu traktatu konstytucyjnego – głoszą autorzy tego poglądu – czeka nas nacisk Francji i Niemiec. Jakbyśmy zapominali, że istnieją jeszcze Brytyjczycy i Włosi (nie mówiąc już o całej rzeszy państw średnich i małych), którzy także mają coś do powiedzenia. Na jakiej podstawie przyjmuje się, że państwa większe mają wspólny interes? Na jakiej podstawie przyjęliśmy, że Francuzi i Niemcy będą zawsze tworzyć wspólny front?

Innymi słowy, trudno zrozumieć, skąd wzięło się założenie, że z tego, iż w tej chwili niektórym państwom większym zależy na traktacie konstytucyjnym, wynika, że w przyszłości zechcą one bronić czy blokować te same inicjatywy.

Założenie trzecie: pozycja Polski w Unii zależy od naszej siły blokującej. A przecież gdyby brać pod uwagę nie siłę blokującą, lecz siłę pozytywną – czyli możliwość przegłosowania tego, na czym nam zależy – to mamy znacznie więcej do powiedzenia w systemie proponowanym przez Konwent. Tymczasem osamotniona Polska (a już jest osamotniona) właściwie niczego nie zablokuje, nawet gdybyśmy uratowali Niceę – bo przecież potrzebujemy do tego jeszcze zgody innych na nasze preferencje. W związku z tym założenie, że pozycja Polski zależy od naszej siły blokującej – pomijając nawet cały niebezpieczny osad, jaki pozostał z historii tych negocjacji i na zewnątrz, i wewnątrz kraju – jest w moim przekonaniu nie do utrzymania.

Założenie czwarte: interesy narodowe wielkich państw przeważają nad interesami Europy. Innymi słowy, wielcy myślą o sobie naszym kosztem. Zapewne myślą, ale czy musi nam to zagrażać?

Wydaje się logiczne, iż to właśnie państwa wielkie znacznie lepiej niż małe zdają sobie sprawę z tego, że ich losy zależą od losów Unii, od losów zjednoczonej Europy, i założenie, iż jest to dla nas niekorzystne, właściwie nie ma żadnych podstaw.

I **ostatnie założenie**, najgłębiej zakorzenione, chociaż rzadko się pojawia w dyskusjach – że nie ma szans na zbudowanie europejskiego społeczeństwa. Każdy pozostanie na swoim podwórku i o wspólnotcie w sensie społecznym nie ma mowy. Nigdy nie powstanie europejski *demos*. A niby dlaczego nie? To tylko kwestia czasu, i właśnie perspektywa czasowa nie pozwala pójść dalej w tej dyskusji.

Warto postawić pytanie: czy wszyscy zwolennicy Nicei rzeczywiście byli przekonani o trafności powyższych założeń? W moim przekonaniu – nie. To, co obserwowaliśmy, było walką o władzę w Polsce. W gruncie rzeczy zaprzepaszczano szanse Polski, dbając o partyjne interesy na naszej wewnętrznej scenie politycznej. Uczestnicy tej nierzetelnej gry przyjmowali nader trafne założenie dotyczące stanu świadomości społeczeństwa polskiego, które bardzo łatwo kupuje ów tok rozumowania. Między innymi dlatego, że zostało wychowane na „Reducie Ordon”, co w przeszłości przynosiło zresztą znakomite efekty.

Nasze słabości i atuty

Spójrzmy zatem na słabości i atuty Polski. Niestety, słabości są bardziej substancjonalne. Niewielki potencjał gospodarczy, krótki staż demokracji i rynku, niska kultura polityczna – tę listę można by jeszcze wydłużyć.

Mamy jednak także pewne atuty. Jednym z nich jest położenie geopolityczne, na którym wygrywamy przez cały czas od odzyskania niepodległości. Następnie, nasz potencjał demograficzny – jesteśmy jednym z państw większych i to się coraz bardziej liczy. Wreszcie sprawa, o której bardzo często się zapomina, a którą uważam za ważną, mianowicie zdolność adaptacyjna Polski i Polaków.

To, co nasze społeczeństwo już wykazało w procesie obecnej transformacji, doskonale dokumentuje tę zdolność. Ale nie tylko. Nasza tożsamość narodowa została ukształtowana w ciągu 150 lat niewoli, w okresie zaborów. Czy to nie jest najlepszy dowód naszej siły adaptacyjnej? Czy w takiej sytuacji mamy powody, aby się obawiać, że w Unii Europejskiej stracimy tożsamość narodową albo nie poradzimy sobie z konkurencją? W moim przekonaniu są to obawy na wyrost. Zdolność adaptacyjna Polski jest naszym wielkim atutem i powinniśmy świadomie ją wykorzystać.

Innymi słowy, w naszym interesie leży Unia silna, Unia federalna, i jedynym rozsądnym zachowaniem Polski jako państwa jest ucieczka do przodu, tzn. aktywne wsparcie pogłębionej integracji. Tylko w tej roli Polska może być np. partnerem w Trójkącie Weimarskim.

Jeżeli chcemy naprawdę w takim trójkącie – z Francją i Niemcami – odgrywać jakąś rolę, to udowodnijmy naszą postawą, że możemy być atrakcyjnym partnerem dla każdego z pozostałej dwójki, pamiętając, że 3 nie dzieli się bez reszty przez 2. Nie zapominajmy, że interesy wielkiej dwójki w tym trójkącie bardzo rzadko bywały zbieżne i że Polska może w takim układzie być bardzo potrzebna, współkształtując koncepcję przyszłej Europy. Do tego potrzebna jest jednak odwaga i wyobraźnia, a nie kompleksy i postawa obronna. Jednocześnie rola hamulcowego, jaką w tej chwili przypisuje się Polsce, może być najważniejszym czynnikiem, który zapewni duetowi francusko-niemieckiemu trwałość. To oczywiście nie będzie sprzyjało wzmocnieniu znaczenia Trójkąta Weimarskiego i pozostawi Polskę w permanentnej defensywie.

PRZYPISY

- 1 Niech nas nie zwiedzie hiszpański zwrot użyty przez posła Rokitę, nawiązujący do innej retoryki, w potocznej bowiem świadomości Polaków sens tego zwrotu znajduje zupełnie inne odniesienie.